Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

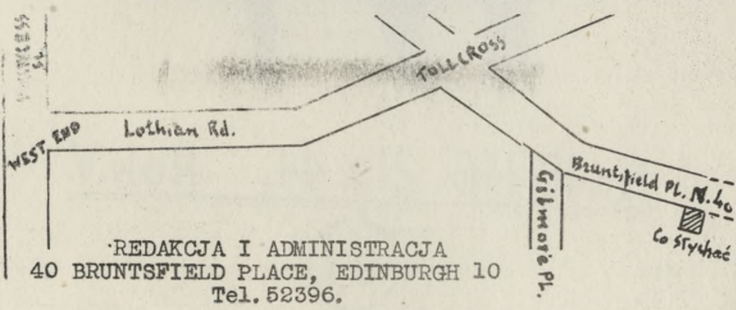
..The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 18/148 21.X.44. Rok.V.

6d.

OKŁADKA: Pomnik ks. Józefa w Warszawie.



REDAKCJA I ADMINISTRACJA
40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH 10
Tel. 52396.

1. Indywidualne promieniowanie.

Często się zdarza, że zasypywani jesteśmy przez naszych przeciwników lub wrogów, czy nawet ludzi bezstronnych lub obojętnych argumentami i pytaniami, na które jest nam trudno odpowiedzieć. I często tak wychodzi, że nasze argumenty nie są dość przekonywujące, że nie potrafimy ich dostatecznie obronić odpowiednimi przykładami, czy też dowodami, że wreszcie nie umiemy się odpowiednio wysłowić w obcym języku.

Te okoliczności sprawiają, że w większym towarzystwie, usposobionym do nas niejednokrotnie całkiem przyjaźnie, jeżeli znajdzie się wymowny, obrotny i dość sprytny przeciwnik, przychylni nam ludzie skłaniają się w ostateczności na jego stronę.

Wiele broszur po polsku i po angielsku napisano na te tematy na tutejszym terenie. Przytoczono ogromne ilości argumentów, broniących naszej sprawy, popartych historycznymi, strategicznymi, narodowościowymi czy religijnymi dowodami. Podano cyfry i wykresy, statystyki i przykłady.

Trudno jest jednak wymagać, ażeby wszyscy przyjaźni nam ludzie zechcieli je przeczytać. Tym bardziej nie uczynią tego nasi przeciwnicy. Nie możliwe jest, abyśmy sami przetrawili je dobrze i zakarbowali sobie w pamięci i mieli w każdej chwili gotową odpowiedź dla odparowania ciosów.

Dowiedzione jest też, że wszelka argumentacja wywołuje kontrargumentację, a przytaczane dowody - kontrdowody i.t.d.

Lecz jeżeli w odpowiednim momencie potrafimy zadać przeciwnikowi kłopotliwe pytanie, na które albo nie będzie umiał od razu odpowiedzieć, albo też nie znajdzie na nie dość przekonywujących argumentów, w tym wypadku możemy być pewni, żeśmy sprawę w opinii słuchaczy wygrali.

Takie pytanie musi być stosunkowo krótkie, jasne i zwięzłe i musi trafiać w sedno sprawy. Jest ono jak sztych szpady. Niezawodne.

Postanowiliśmy przeto wydrukować po angielsku parę serii takich pytań, ażeby każdy z Czytelników mógł je tylko przepisać sobie i odczytać w odpowiednio wybranym momencie dyskusyjnym.

Samo odczytywanie winno być wykonywane z całym spokojem, bez pośpiechu. Należy przy tym odczekać chwilę, w której przeciwnikowi się zdaje, że jest na wierzchu, że bodaj wmówił swe zdanie w nas samych. Że przekonał całe audytorium o słuszności tego, co może przez wiele czasu zaciekle bronił.

PYTANIA.

1. Will the national independence of Poland survive the war which began precisely because the independence of Poland was threatened?

2. Why Russia, who possesses one sixth of the whole globe, and has on her territories all riches necessary for the modern life, wants new conquests and new lands? Does Russia possess too little space for her population on her own territory?

3. Russia is asking the half of Poland for a strategic reason.

There arises a question of against whom the strategic frontiers are necessary if Germany is disarmed and sufficiently controlled? Is not this defensive policy of Russia an imperialistic preparation with a view to subjecting the whole of Europe in the near future?

4. The British and American politicians state that Britain and United States must retain good relations with Russia, because:

a/ Russia suffered tremendous losses in the war with Germany.

b/ Owing to Russia s war effort Germany will be defeated.

c/ Any time Stalin might settle the peace with Hitler.

QUESTIONS.

a/ Does Russia fight this war for the security and independence of Britain or America?

b/ Could Russia fight alone without the help of Britain or America?

c/ Is it worthwhile to sign treaties with a partner, who might betray any time and tear his signature.

d/ Have we in history an example of two dictators settling the peace and working in harmony not trying to subject the other?

5.Many politicians in the world and a proportion of the common people consider that Russia is right demanding the Polish territory on which live together Poles, Ukrainiens, White Russians and Lithuanians.

Is it not necessary to ask those nations on condition of perfect freedom and secrecy if they want to join the Soviet Russia?

6. In Eastern Poland beside some millions of Poles are living Ukrainians, White Russians and Lithuanians.

Are these three nations closer to the Russians and other Mongol-Tartar races of the Soviet Union or to the Poles with regard to the cultural, religious and racial relations? If they are closer to the Poles why does Russia want to annex their territories?

Why cannot Ukrainians and White Russians from Russia join their brethren and live together with Poles in peace and real equality in the common Central European State?

7. When the small nations of the Eastern Europe are subjected and anihilated by Russians, who is going to defend Great Britain against the victorious Communism?

Piękna Diana Barrymore wróciła po dłuższej nieobecności do New Yorku. Gdy od wiedziła swą matkę, na progu zastąpił jej drogę niedawno przyjęty lokaj pytaniem:

"Czy Mrs. Tweed spodziewa się wizyty pani"?

"Mrs. Tweed spodziewała się wizyty mojej jeszcze przed moim urodzeniem", odpowiedziała rezolutna Diana, odsunąwszy zaskoczonego kamerdynera z drogi.

Straty amerykańskie w pierwszych jedenastu dniach inwazji wyniosły 15883 ludzi, z czego 3.283 zabitych i 12.6oo rannych.

Porównując te cyfry ze stratami, ponoszonymi na drogach w Stanach Zjednoczonych, zobaczymy że pomimo restrykcji benzynowych i na opony, w ciągu każdych jedenastu dni pada na drogach Stanów 24.812 ludzi, z czego 7o2 zabitych a 24.1oo rannych.

2. Siedmiu berlińskich wisielców.

W półmroku berlińskiego jesiennego ranka 10-go września 1944 roku siedm woskowo-żółtych twarzy powieszonych mężczyzn spoziérało przed siebie szklanym wzrokiem. Wokoło szubienic stało kilka grup w mundurach wojskowych lub nazistowskich uniformach. Byli między nimi członkowie ludowego sądu, który wydał wyrok śmierci, członkowie berlińskiego "Gauleitung", gestapowcy ze sztabu Himmlera, paru wyższych ministerialnych urzędników, delegacja oficerów berlińskiego garnizonu oraz kaci w czarnych uniformach S. S.

Towarzystwo niezbyt było przejęte widokiem śmierci, która ludzi zwykle zmusza przynajmniej do powagi. Większość obecnych patrzała na zwłoki ze szczerym zadowoleniem i rzucała głośno szydercze spostrzeżenia.

Uwaga wszystkich skoncentrowana była szczególnie na jednej szubienicy. Ciało zmarłego lekko się kołysało pod tchnieniem wiatru. Był to człowiek doskonale znany wszystkim obecnym. Nie był on głównym spiskowcem, ale był on dla obecnych t.zw. "swoim człowiekiem" Jeszcze trzy miesiące temu zajmował stanowisko szefa berlińskiej policji i jako taki odgrywał poważną rolę hierarchii partyjnej.

Że hr. Helldorf we własnej osobie był przez całe swe życie łotrem, który nurzał się we krwi i nie cofał się przed żadnego rodzaju zbrodnią, wszyscy o tym doskonale wiedzieli. Nie przemawiało to jednak na jego niekorzyść w tym dobranym towarzystwie. Pod skrzydłami brutalnej dyktatury tylko w ten sposób osiągano kariery, a wszyscy obecni zawdzięczali swe stanowiska tylko narodowemu socjalizmowi.

Lecz jeżeli łotr staje się renegatem i spiskuje przeciw przywódcy łotrów, to takie przestępstwo jest niewybaczalne. Dlatego to z taką uwagą przypatrywali się twarzy jego, wykrzywionej przedśmiertnym grymasem i dlatego to pragnęli wywrzeć na nim całą swą zemstę.

Na inne ciała patrzyli się z pogardą.

Ci byli naiwnymi dyletantami w walce o władzę, ludźmi, nie mogącymi się równać z nimi. Potrafili oni zorganizować rzucenie bomby na Hitlera, gdy się to jednak nie udało, od razu zrezygnowali z dalszej walki. Zarówno oni, jak i generałowie, którzy byli powieszeni miesiąc temu, byli warci jedni drugich. W oczach prawdziwego nazisty byli oni tchórzliwymi, słabymi ludźmi. Może jeden lub dwuch z nich zasłużyło na podziękowania za uprzednią pracę. Naprzykład tamten o ostrym profilu, wykazujący nawet po śmierci swą przynależność do kasty pruskich junkrów. Był to Ulrych von Hassell, który jako niemiecki ambasador w Rzymie przyczynił się do zmontowania t.zw. osi przez zawarcie paktu pomiędzy Hitlerem a Mussolinim. Gdy jednak w chwili obecnej "oś" już pękła, a Włosi walczą po stronie Aliantów, ten były dyplomata uznał za bezsensowne dalsze podtrzymywanie reżimu i razem z innymi rozczarowanymi przez Hitlera, próbował nawiązać kontakt z Aliantami. Emisarjuszem jego był Herr Trott zu Solz, urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, obecnie zwisający z szubienicy po jego lewej stronie. Podróżował on często do Sztokholmu i nawiązywał kontakty.

Na następnej szubienicy wisiał człowiek przedwcześnie postarzały, którego twarz jakby mówiła o ciężkich przeżyciach. Przez długi czas przebywał on w obozie koncentracyjnym, który nie zdołał złamać jego ducha. Wilhelm Leuschner, były socjal-demokratyczny minister spraw wewnętrznych w Hesji, posiadał mocny charakter. Był on zawziętym przeciwnikiem jakiegokolwiek fałszywego kompromisu, który zatruwał atmosferę republikańskich Niemiec owego czasu. W normalnych okolicznościach nigdy nie znalazłby się on w towarzystwie takich reakcjonistów i ex-nazistów, w jakim spotkała go śmierć. Wyjątkowe warunki, wywołane wojną i dyktaturą spowodowały, że prawdziwy republikanin zgodził się na tego rodzaju sojusz w walce przeciw Hitlerowi.

Zupełnie innym typem był przywódca spiskowców, zwisający ze środkowej szubienicy. Grymas uśmie-

chu, który nigdy nie znikał z twarzy byłego prezydenta miasta Lipska, zamienił się na wyraz goryczy, przemięszanej ze strachem i już nie zszedł z rysów twarzy w przedśmiertnej agonii. Goerdeler nie był zawziętym przeciwnikiem nazistów. Należał on do prawego skrzydła mieszczańskiego, które szukało porozumienia z dyktaturą Führera. Lecz Hitler, który osobiście nie lubił Goerdelera, pokrzyżował plany tego ostatniego, zdobycia stanowiska naczelnego dyrektora firmy Krupp i ten zawód skierował go do obozu przeciwników reżimu.

Siedm berlińskich szubienic, widok których nasycił uczucie zemsty Nazistów, wzbudziło ogromne zainteresowanie w całym świecie. Wywołały one nawet szereg sympatyzujących odruchów w stosunku do tych świeżych ofiar hitlerowskiej tyranii. Taka sympatia wydaje się nieco dziwna w obliczu straszliwych morderstw, jakich dokonali Niemcy ostatnio we wszystkich okupowanych krajach.

Pięciu z pośród powieszonych, w razie udania się zamachu, miało wejść do nowego rządu Rzeszy. Goerdeler był upatrzony na kanclerza, Hassel miał zostać ministrem spraw zagranicznych, Leuschner - spraw wewnętrznych, Lejeune - ministrem handlu i Wizmer - sprawiedliwości. Gabinet miał być skompletowany przez dokooptowanie jednego z generałów, straconych w sierpniu.

Każdy rząd, zorganizowany przeciwko Hitlerowi, byłby przyjaźnie powitany przez Sprzymierzonych. Ten rząd jednak byłby dziwnym tworem. Trudno przypuścić, ażeby republikanin Leuschner zechciał długo pozostawać w towarzystwie reakcjonistów i starych pruskich militarystów.

Generałowie, konserwatyści pruscy i wielcy przemysłowcy w krótkim czasie zrobiliby porządek w nowym gabinecie i wprowadziliby nową dyktaturę, opierającą się na osobnikach w rodzaju Helldorf'a. Trudno być optymistą i sądzić, że tego rodzaju przyszły rząd Rzeszy ułatwiłby zadanie Sprzymierzonych w oczyszczeniu Niemiec z czynników, zagrażających porządkowi i bezpieczeństwu w stosunkach międzynarodowych.

Jedyna poważna próba obalenia Hitlera spełzła

na niczym, albowiem była niedostatecznie zorganizowana. Cele i intencje ludzi, pragnących usunąć Hitlera, były nader podejrzane. Prawdopodobnym zyskiem byłoby może skrócenie agonii hitlerowskiego reżimu.

3. Generał Jan Delattre Tassigny.

O uszy niejednego już żołnierza polskiego obiło się nazwisko gen. de Tassigny, obecnego naczelnego dowódcy francuskiej armii. Był on jedynym generałem francuskiem, który wydał rozkazy, ażeby wojsko czynnie oparło się wkraczającym Niemcom, gdy zajmowali drugą, nieokupowaną połowę Francji.

Został on za to aresztowany i skazany na 10 lat więzienia.

Przytaczamy poniżej krótki opis sylwetki gen. de Tassigny, nakreślony przez korespondenta News Chronicle.

Człowiek, dowodzący obecnie odrodzoną armią francuską w Południowej Francji, generał Jan Delattre de Tassigny, potrafił przez przeciąg całej swej wojskowej kariery aż po obecną wojnę maszyn, samolotów i buldozerów zachować romantycznego ducha bohatera Dumasowskiej trylogii - kawalera d'Artagnan.

Zdobywając Tulon w swym pięćdziesiątym roku życia, gen. de Tessigny wykazał taki sam rozmach i impet, z jakim walczył jako porucznik kawalerii w pierwszej wojnie światowej.

Generał Aleksander Patch, dowódca 7-ej armii amerykańskiej, powierzył Francuzom zdobycie Tulonu.

De Tassigny nie zmarnował czasu. Francuscy komandosi zdobyli stromy Cap Negre, a w pięć dni później atakowali niemiecką baterię na Mont Coudon, na północny wschód od Tulonu.

Nie czekając na wyładowanie artylerii, generał de Tassigny rzucił swe jednostki pancerne, komandosów i marokońskie oddziały górskie na otaczające Tulon wzgórza, nie dając Niemcom czasu na przyjście do siebie i zreorganizowanie się.

Zasadą generała de Tassigny było zawsze szyb-

kie działanie, nie dające nieprzyjacielowi ani chwili wytchnienia. Zgodnie z tą zasadą, Francuzi poszli naprzód bez wsparcia artylerii i zagamęli tysiąc jeńców w przeciągu pięciu dni.

Zewnętrznie generał de Tassigny w niczym nie przypomina d'Artagnan'a; średniego wzrostu, z przerzedzonymi czarnymi włosami, gładko zaczesanymi do tyłu, wygląda bardziej na dyrektora banku, niż żołnierza. Autor reportażu spotkał go w szałasie, służącym mu za kwaterę w jednej z górskich wiosek na północny wschód od Tulonu. Generał miał na sobie khaki kepi, spodenki i koszulę z pięcioma srebrnymi gwiazdkami na błękitnych naramiennikach. U pasa zwisał mu amerykański pistolet automatyczny Webley. W ręku trzymał laskę.

Usiadłszy przy założonym mapami stole, tłomaczył on grupie korespondentów szczegóły planu kampanii. Robił to z pamięci, nie zwróciwszy się ani razu o informacje do adiutantów. Sam wiedział o wszystkim.

Mówił po francusku. Poprawił jednak natychmiast tłómacza, gdy ten przeinaczył nieco jego wyjaśnienia.

Po wybuchu obecnej wojny w stopniu generała brygady, de Tassigny otrzymał dowództwo 14-ej dywizji piechoty. Widząc zbliżające się już niechybnie zawieszenie broni z Niemcami, zwrócił się osobiście do naczelnego dowództwa z prośbą o wysłanie dywizji bądź do Anglii, bądź do Północnej Afryki. Obie propozycje zostały odrzucone. Przed przyjęciem nominacji na dowódcę sił wojskowych w Tunisie, otrzymał on od generała Weygand zgodę na zaatakowanie wojsk Osi, gdyby te usiłowały zająć Tunis.

Nim jednak zdążył wprowadzić swój plan w życie otrzymał nominację na dowódcę okręgu wojskowego Montpellier.

Na tym stanowisku wszystkie swe wysiłki skierował generał ku odrodzeniu armii. Po wylądowaniu Aliantów w Północnej Afryce omówił on na naradzie ze swym zastępcą i z dowódcami pułków plany niedopuszczenia do okupacji Południowej

Francji przez Niemców.

Od sztabu generalnego uzyskał telegraficzny rozkaz, pozostawiający dowódcom dywizji swobodę działania w razie przekroczenia przez Niemców linii demarkacyjnej. Po otrzymaniu wiadomości, że to już nastąpiło, wydał generał swym wojskom rozkaz wymarszu do Les Corbiers, gdzie zamierzał powstrzymać posuwanie się Niemców. Chociaż pozbawiony zastępcy który znikł tego rana w sposób niewytłomaczony, zdołał generał sam przygotować wszystko do wymarszu swych wojsk i wyjechał do Les Carbières.

W kilka minut po jego wyjeździe przybył do Montpellier dowódca grupy dywizji w Avignon, generał Langrois, który po odbyciu odprawy z oficerami i przemówieniu do zebranych żołnierzy, połączył się telefonicznie ze wszystkimi garnizonami i unieważnił rozkazy, wydane przez generała de Tassigny.

Generał został aresztowany przez policję w St.Pons, odmówił przy tym skorzystania z możliwości ucieczki, zaproponowanej mu przez miejscowego prefekta.

9 stycznia 1943 r. sąd skazał go na dziesięć lat więzienia,przy czym osadzony został w Riom w tej samej celi, w której przebywał przedtem Daladier. Jednak grono oddanych generałowi ludzi pracowało bez wytchnienia nad jego uwolnieniem. W koszykach z jedzeniem i w bukietach kwiatów zostały mu dostarczone sznury i piła, dzięki którym zdołał on w nocy 2-go września przepiłować kraty okienne i przedostać się przez podwójne mury więzienne.

W kilka tygodni potem przybył generał do Londynu, skąd po krótkim pobycie udał się do Północnej Afryki, aby oddać się do dyspozycji generała de Gaulle, który mianował go generałem broni.

Generał de Tassigny postawił sobie za cel wskrzeszenie honoru i prestiżu francuskiej armii. Zdaje on sobie sprawę, że Francja była przez cztery lata okupowana przez jedną z najlepiej zorganizowanych i najbitniejszych armii świata. Wracająca więc do ojczyzny armia francuska powinna stać pod każdym względem na jeszcze wyższym po-

ziomie. Musi to być "une armée impeccable."
Przed generałem de Tassigny otwierają się nareszcie możliwości zrealizowania tych dumnych planów.

4. Mądrość zwierząt.

Inteligencja stworzeń jest czasem zadziwiająca. Chcąc ją poznać, należy obserwować zwierzęta, ptaki czy owady przez dłuższy okres czasu.

Trudno jest objaśnić różne przejawy inteligencji samym tylko instynktem. Instynkt pomaga stworzeniom w zdobywaniu pokarmu. Ale nie sam tylko instynkt może kierować ich czynami w chwilach niebezpieczeństwa, w wspólnie urządzanych zabawach czy też w budowaniu sobie gniazd i legowisk.

W numerze dzisiejszym cytujemy parę przykładów niepospolitego zwierzęcego sprytu.

TRYUMF KRÓLIKA.

Królik wyskoczył z pod stosu drewna i pobiegł w skokach przez pole. Za nim puścił się wyżeł. Pies był śmigły i przestrzeń między nim a królikiem zmniejszała się z przerażającą szybkością. Można było się spodziewać każdej chwili końca gonitwy i śmierci zagonionego stworzenia. A gęste krzaki były już tak blisko...

Królik nie dał za wygraną. Nie mogąc uciec, wziął się na dowcip. W mgnieniu oka przycupnął do ziemi, a gdy psa przeniosło nad nim, w następnym momencie potężnym susem skoczył mu na grzbiet.

Zanim rozpędzony i zaskoczony pies zdołał się zatrzymać, sprytny królik zdołał zeskoczyć na ziemię i skryć się w krzakach, do których przedtem o własnych siłach nie zdążyłby dobiedz.

Wyżeł, całkowicie oszołomiony, latał przez parę chwil jak wściekły naokoło krzaków, poczem pomału powrócił do swego pana ze spuszczonym na znak smutku ogonem i z wyglądem baranim na pysku.

STRATEGIA WILKÓW.

W pewnej górzystej, dzikiej miejscowości w Północnej Ameryce znajduje się obszerny płaskowyż, na którym założony został tymczasowy obóz na czas wykarczowania starego lasu. Jeden z końców płaskowyża, niedosięgalny ze sztucera, służył wilkom za miejsce przelotne z jednej części lasu do drugiej.

Obóz posiadał ogromnego psa, imieniem Tommy, który urządzał sobie polowanie na samotnie przechodzące wilki. To się powtarzało dopóki wilki nie postanowiły uwolnić się od niepokojącego je natręta.

Pewnego przedwieczoru Tommy najeżył się srodze i popędził przed siebie jak strzała. Na pustym polu stał wilk i jakby czekał na nadbiegającego psa. Gdy już ten ostatni był blisko, wilk począł uciekać w stronę lasu, prowadząc za sobą psa. Ludzie z obozu spostrzegli z przerażeniem podstęp wilka: obrócił się on nagle frontem do Tommy'ego i to w momencie, gdy dwa inne wilki nacierały już od tyłu. Tommy wpadł w świetnie obmyśloną zasadzkę.

Walka trwała nieledwie sekundy. Ludzie musieli z przykrością patrzeć, jak pies został rozszarpany przez rozwścieczone wilki. Akcja powyższa jednak wykazała ogromną inteligencję dzikich zwierząt.

WRÓBLE PODSTĘPY.

Dwie pary wróbli wprowadziły się do ptasiego domku, ustawionego na słupku w pobliżu willi i obrały sobie dwa przeciwległe jego przedziały. Pewnego dnia samczyk Nr.1 próżnował sobie przed wejściem do swego gniazdka, gdy samczyk Nr.2 przyleciał skądsiś, z tryumfem dźwigając w dziobie białe kurze pióro. Umieścił je w swym przedziałku, poświergotał trochę i znowu gdzieś poleciał.

W momencie, kiedy znikł z oczu, wróbel Nr.1 wtargnął do jego gniazdka, skradł pióro, pofrunął do kupy leżącego drzewa i schował je pod wiórem. Powrócił następnie na swą grzędę i usiadł sobie, jakby się nigdy nic nie stało.

Numer drugi wkrótce nadleciał. Gdy spostrzegł brak pióra, podniósł okropny wrzask, poczem wdarł się do gniazda należącego do pierwszego wróbla. Właściciel z całym spokojem pozwolił mu przeszukać wszystkie kąty, odczuwając przy tym wielką radość w sercu. Gdy zapobiegliwy gospodarz przekonał się, że jego sąsiad nie popełnił tej kradzieży, odleciał na dalsze poszukiwania.

Nie zdążył jeszcze zniknąć z oczu, gdy sprytny złodziej zatrzepotał skrzydełkami i pofrunąwszy

w stronę drewna, zręcznie wydobył piórko i natychmiast zaniósł je do swego gniazda.

Na żądanie wielu Czytelników dawać będziemy przez pewien czas po dwie-trzy stronice z przeznaczeniem na wiadomości ogólne, poświęcone wszelkim dziedzinom wiedzy, przy czym pragniemy podawać je statystycznie. Chodzi nam o to, ażeby niektórzy Czytelnicy mogli jaknajwięcej z tych wiadomości skorzystać i ażebyśmy nie musieli zużywać na to zbyt wiele miejsca. Dział ten będzie drukowany pod rubryką:

5. Czy wiecie, że...

Świat, choć samoloty zmniejszyły przestrzeń ogromnie, posiada wielką powierzchnię, na której pomimo wzajemnego intensywnego wybijania się, żyje jeszcze wiele milionów ludzi

POWIERZCHNIA I ZALUDNIENIE.
w okrąg. cyfrach

Część świata	Pow. w mil.kw.*	Ilość miesz.
Europa	3.750.000	475.000.000
Azja	17.000.000	1.013.000.000
Afryka	11.500.000	143.000.000
Australia i Polinezja	3.450.000	9.000.000
Północna Ameryka	8.000.000	146.000.000
Południowa Ameryka	6.800.000	64.000.000
Regiony Polarne	5.000.000	
Ogółem...	55.500.000	1.850.000.000

Powierzchnia Polski w biegu historii liczyła:

Rok	Okres.	Pow. w km.kw.
1024	Bolesław Chrobry	333.000
1492	Kazimierz Jagielończyk	1.115.000
1618	Zygmunt III	1.017.000
1770	Stan. Aug. Poniatowski	733.500
1773	Po pierwszym rozbiorze	520.000
1793	Po drugim rozbiorze	212.000
1939	Współczesna Polska	389.720

Ogólne granice Polski wynosiły w 1938 r. 5529 km., w tym brzegu morskiego posiadaliśmy 140 km. Granica z Niemcami wynosiła 1912 km, z Rosją 1412, z Czechosłowacją - 984, z Litwą - 507, z Rumunią - 347, z Wol. Miastem - 121 i z Łotwą - 106 km.

Ludność Polski w cyfrach na przestrzeni 70 lat była:

	1870	1900	1921	1931	1939
W milionach ogółem	17.0	25.2	27.4	32.3	35.1
W milionach w miastach	2.78	4.45	3.45	4.44	-
na 1 km.kw.	44	65	70	83	90
Mieszkańcy miast w proc.	16	18	24	27	-

Powierzchnia Imperium Brytyjskiego obejmuje około 17.000.000 mil kw., czyli ponad jedną piątą powierzchni ziemi. Cyfra ludności obliczana jest mniej więcej na 493.500.000 mieszkańców.

WYSPY BRYTYJSKIE.

	Stolica	Pow. w m.kw.	Zalud. /1931/
Anglia	Londyn	50.327	37.354.917
Walia	Londyn	8.016	2.593.014
Szkocja	Edynburg	30.405	4.842.554
Półn. Irlandia	Belfast	} 32.059	1.250.000
Poł. Irlandia	Dublin		2.949.000
Wyspa Man	Douglas	221	49.338
" Jersey	St. Helier	45	50.455
Wyspy Guernsey	St. Peter Port	28	42.606
	Ogółem...	121.101	49.131.884

PRZYROST LUDNOŚCI W RÓŻNYCH PAŃSTWACH. /w tys./.

	1800	1850	1900	1910	1920	1930	1938
Polska	9000	13600	25000	28978	26664	31258	34849
Belgia		4337	6694	7424	7462	8092	8375
Dania	929	1415	2450	2757	3267	3550	3764
Francja	28250	36472	40681	41479	39210	41835	41950
Hiszpanja	10541		18618	19156	21338	23560	24849
Holandia	2100	3057	5104	5858	6865	7953	8680
Italia	18125	24348	32475	34671	38033	41230	43680
Niemcy	24831	35900	56367	64929	59177	64280	78780
Norwegia	883	1400	2243	2390	2653	2815	2917
Rosja Eur.	39000	60670	108594	130519	..	116063	
Szwecja	2347	3483	5136	5522	5904	6142	6290
W. Brytania	10501	20817	37000	40834	42769	44791	46211

UWAGI. Ludność Polski obliczona w granicach 1938 r. Niemcy za 1938 r. łącznie z Austrią i Sudetami.

6. Ubawca Brazylii.

Poniższa historia jest znakomitym przykładem, jak ciężka jest walka z ludzką tępotą. Z jakim trudem wszelkie nowe idee docierają do świadomości szerszych mas i jak namiętnie są one przez nie zwalczane pod kierunkiem sprytnych aferzystów, karierowiczów czy też ludzi, zazdrosnych o powodzenie innych.

Pod tym względem nic się, niestety nie zmieniło i w czasach dzisiejszych. W epoce samolotu, radia i telewizji, oraz wielkich idei lecz małych ludzi.

Aczkolwiek umysł ludzki jest dzisiaj bardziej przystępny dla wszelkiego rodzaju postępu, brutalna siła, poparta pieniędzmi, posiada możliwości zahamowania najbardziej nawet czystych, ludzkich idei i przedsięwzięć.

Na pocieszenie musimy jednak stwierdzić, że jednak w ostateczności dobro przeważnie tryumfuje nad złem. Wymaga to jednak wiele czasu, a jeszcze więcej... cierpliwości.

W roku 1895 europejskie towarzystwa okrętowe szeroko reklamowały "podróże do rzeki La Plata z pominięciem portów Brazylii". Okręty opuszczające Argentynę głosiły: "ten parowiec nie zawija do Rio de Janeiro ani do żadnego z brazylijskich portów." Bez tych ogłoszeń okręty musiałyby płynąć puste, albowiem wszyscy wiedzieli że... Brazylia jest zakażona...że Brazylia - to kraina śmierci.

Fakty mówiły same za siebie. Włoski statek wojenny, zakotwiczony o pół mili od Rio, w pięć dni pochował w falach morza swego kapitana i 223 członków załogi. Przyczyną była żółta febra.

Żółtą febrę sprowadził do Brazylii w 1849 r. amerykański szkuner, który zatrzymał się w Bahii z przypadkiem tej choroby na pokładzie. Tubylcy szybko zarazili się i choroba zaczęła się gwałtownie rozszerzać.

Pomiędzy 1891 a 1894 r. było w Rio 15,000

śmiertelnych przypadków. Jeszcze w 1901 r. liczba zejść śmiertelnych dochodziła do 3000. W ciągu tych 50 lat terroru, brazylijski departament zdrowia napróżno szukał rady wzdłuż i wszerz globu. Wszystkie próby zwalczenia plagi spełzały na niczym. Ci, którzy cudem wychodzili z choroby, stawali się ze względu na swą osłabioną strukturę fizyczną, problemem dla państwa. Handel upadał a przemysł i własność prywatną spotykały ciosy, przechodzące wszelką wyobraźnię.

W 1902 prezydentem Brazylii zostaje wybrany Rodrigues Alves, który proponuje by na ministra zdrowia wyznaczono lekarza, mogącego stanąć do walki z plagą żółtej febry. Ktoś zaproponował doktora Oswaldo Cruz.

"Któż to jest ten Oswaldo Cruz?" spytał prezydent swego syna, w tym czasie studenta szkoły medycznej. Oczy chłopaka zajaśniały: Dr Cruz był to młody, odważny lekarz, który poradził sobie z podobną plagą w Santos przez wytępienie szczurów. Jego praca na temat serum przeciwplagowego była już sławną w Europie.

Oswaldo Goncalves Cruz urodził się w Sao Luiz do Paraitinga w południowej Brazylii, jako syn ubogiego wiejskiego lekarza. Był on skromnym i cichym chłopcem. Gdy w dwudziestym roku życia robił dyplom w szkole medycznej w Rio, okropnie obawiał się ustnych egzaminów.

Skromność jego nie przeszkodziła mu jednak do zawarcia związku małżeńskiego w 21-szym roku życia. Za żonę pojął uroczą i bogatą Amelię da Fonseca, której ojciec w wianie ślubnym dał mu fundusze na wybudowanie niewielkiego laboratorium klinicznego w piwnicy swego domu. Było to pierwsze tego rodzaju laboratorium w Rio.

W 1896 r. młody Dr Cruz udał się do Paryża w celu studiowania bakteriologii i medycyny społecznej w Instytucie Pasteura. Tam zainteresował się eksperymentami Carlosa Finlay´a oraz jego teorią, głoszącą że moskity są roznosicielami żółtej febry.

Wkrótce po powrocie do Rio, katastrofa w jakiej kraj jego się znalazł, dała mu pierwszą sposobność

do walki. W Santos wybuchła epidemia t.zw. plaga buboniczna /Jest to straszna, w przeważających wypadkach kończąca się śmiercią choroba, znana w medycynie pod nazwą poliadenitis maligna. Jest ona spowodowana zarazkiem zwanym Pasteurella pestis. Zaczyna się ona dreszczami,po których szybko nadchodzi stan ogólnej prostracji podobny do tego, jaki mamy w tyfusie. Często występuje razem z delirium i silnymi bólami głowy. Przeważnie kończy się śmiercią/ i szybko poczęła się rozszerzać i w innych miastach. Dyrektor Instytutu Hygieny zatelegrafował do Instytutu Pasteura o przysłanie za wszelką cenę francuskiego specjalisty do Rio. Francuzi nie mogli się zdecydować. Wyjazd do Brazylii wtedy równał się samobójstwu, a zresztą "dlaczego Brazylia nie może skorzystać z usług swego obywatela doktora Cruz?" Odtelegrafowali więc szybko, że "nie znają nikogo bardziej odpowiedniego do walki z epidemią, jak Dr. Oswaldo Cruz".

Dr Cruz znalazł się z powrotem w swym kraju. Pierwszą jego pracą było założenie małego laboratorium dla produkcji serum, na farmie w Manguinhos, przedmieściu Rio. Wyprodukował nawet małe szklane ampułki sztuką, którą posiadł podczas nocy spędzanych w paryskiej fabryce szkła. Założył szkołę dla przygotowania studentów i lekarzy do walki z epidemią bubonicznej plagi. Pod koniec 1900 roku pierwsze wyprodukowane w Brazylii serum oraz szczepionki oddane były na usługi kraju.

Kiedy Cruz nie otrzymał pomocy ze strony miejskich czynników oficjalnych dla swego planu walki ze szczurami - ogłosił po prostu, że będzie płacił za każdego dostarczonego mu szczura. Wkrótce ludzie zaczęli się zgłaszać z tonami zabitych szczurów, niektórzy nawet z dość odległych prowincji. W krótkim czasie plaga ta została przez niego opanowana.

Trzy lata walki z epidemią oraz wysiłków nad wynalezieniem serum dały mu doświadczenie, tak potrzebne dla jego późniejszej,pełnej zawodów pracy.

Przed przystąpieniem do swego nowego zadania likwidacji epidemii żółtej febry, Cruz wymusił na prezydencie obietnicę, że będzie miał możność zasto-

sowania wszelkich środków, jakie uzna za stosowne do walki z żółtą febrą, oraz że zapewnione mu będą do tego celu odpowiednie fundusze. Wzamian za to przyrzekł "oczyścić Rio z żółtej febry w przeciągu trzech lat."

Zaczęły się lata walki. Walka toczyła się nie tylko z moskitami, roznosicielami choroby ale również z innymi potężnymi nieprzyjaciółmi. Konserwatywne koła medyczne były oburzone, że do tak wielkiego zadania powołano młodego i nieznanego lekarza. Gazety i różnego autoramentu politycy oskarżali prezydenta i Cruza o popełnianie nadużyć.

A Cruz tymczasem pracował. Uczniów szkół państwowych powołał do roznoszenia ulotek ze zredagowanym przez niego "kodeksem sanitarnym". Kodeks ten mówił jasno, w jaki sposób należy walczyć z febrą. Nie dezynfekcja ubrań i bielizny chorych, ale niszczenie moskitów i ich miejsc rozmnażania się może tylko wydać owoce. Ludność mało jednak reagowała, a brak współpracy zmusił prezydenta do wydania i przeforsowania siłą odpowiednich ustaw na Kongresie.

Wreszcie w 1904 r. zorganizował Cruz swą sławną "brygadę moskitową". Potrzebował 1200 ludzi, zdołał zgromadzić zaledwie 85, a później 235.

Ubrani w khaki mundury, uzbrojeni w siatki oraz rozpylacze, członkowie brygady spotkali się z oporem.

W ciągu następnych trzech lat "brygada" wykonała 512,000 dezynfekcji w przeszło 65,000 domach w Rio. Półtora miliona rezerwuarów oczyszczono i utrzymywano w stanie czystym. Około 3000 budynków ewakuowano, a całe bloki miejskie wysadzono dynamitem. Mieszkańcy Rio zaczęli się buntować. Dom doktora Cruz został oblężony przez rozhisteryzowane tłumy, a on sam zmuszony był ratować się ucieczką. Kongres wrzał. Gazety coraz to dolewały świeżego paliwa do ognia. Wreszcie, by ratować rząd z nieznośnej sytuacji, Dr Cruz zgłosił rezygnację.

"Zostań, - padła odpowiedź prezydenta "Jeśli mamy paść - padniemy razem."

Jednoczesna walka z ospą rozszerzyła wojnę. Cruz omal że nie spowodował rewolucji przez zarządzenie przymusowego szczepienia ospy.

Jeden z senatorów - profesor Szkoły Medycznej orzekł, że urzędnicy sanitarni, którzy zechcą szczepić jego rodzinę, będą musieli przejść po jego trupie. Biuletyn, wydany przez jedną z partii politycznych twierdził, że prezydent Alves i Cruz są antyrepublikanami "i że robią z obywateli króliki doświadczalne dla swych egoistycznych praktyk czarnoksięskich". Petycje wzywały do rewolucji. Żądanie rezygnacji Dr Cruz było powszechne.

"Człowiek, jakim jest Cruz, zastąpiony być nie może" - była odpowiedź prezydenta.

Pod dowództwem generała, senatora oraz dwuch członków kongresu, grupa uzbrojonych kadetów szkoły wojennej obległa pałac prezydenta. Wojska rządowe jednak odparły atak.

W międzyczasie liczba wypadków śmierci z powodu żółtej febry zmniejszyła się z 584 do 48. Jak tylko metody doktora Cruz zaczęły dawać rezultaty, opinia publiczna uległa zmianie. W lutym 1907 roku na miesiąc przed przyrzeczonym terminem, Dr Cruz oświadczył prezydentowi, że Rio jest wolne od żółtej febry.

Przed rezygnacją ze swego stanowiska Dr Cruz, jako dyrektor departamentu zdrowia - rozszerzył swą pracę na całą Brazylię. Malaria w krótkim czasie została opanowana. Ilość wypadków śmiertelnych z 1200 w 1902 r. spadła do 176 w 1911 r.

Ciężka epidemia ospy w 1908 roku wykazała ludności Brazylii wartość zbawiennych metod walki, zastosowanych przez Dr Cruz. Wdzięczna ludność była gotowa teraz do zrobienia wszystkiego, czego Dr Cruz od niej zażąda.

Prezydent zaproponował mu spełnienie każdego jego życzenia. Dr Cruz poprosił tylko o rozszerzenie jego małego instytutu na farmie w Manguinhos.

Tam gdzie siedm lat temu założyciel instytutu tłukł z rozpaczy ampułki ze szczepionką, powstał wspaniały instytut patologii eksperymentalnej jego imienia - instytut przystosowany do nowoczesnych badań na polu serologii. Najbardziej znienawidzony człowiek Rio - stał się teraz jego honorowym obywatelem.

Dziś instytut doktora Cruz oprócz licznych la-

boratoriów zawiera szpital dla przypadków chorób tropikalnych. Instytut zdołał wydać już przeszło 2.000 prac z dziedziny walki z chorobami zakaźnymi. Przeszło dwadzieścia rozmaitych szczepionek zostało wynalezionych, z tych najważniejsze przeciw tężcowi, dyfterii i dysenterii. Zaszczyty poczęły płynąć z najpoważniejszych ośrodków medycznych świata. Dwaj synowie doktora Cruz kontynuują pracę swego ojca. Oswaldo Cruz junior jest profesorem bakteriologii a Walter Oswaldo Cruz profesorem hematologii.

Dr Cruz zachorował nagle w 1915 r. Prawie ociemniały, cierpiąc na chorobę serca i nie mogąc chodzić o własnych siłach, zmarł w lutym 1917 r. licząc zaledwie lat 44. Rio okryło się powszechną żałobą a cała Południowa Ameryka złożyła hołd u trumny jednego z najbardziej heroicznych bojowników z epidemiami jakiego zna historia medycyny.

7. Historia miotaczy ognia.

Ostatnie brytyjskie miotacze ognia "LIFEBUOY" i CROCODICE" są imponujące w swojej potędze. Dzieli nas ogromna przestrzeń czasu, od chwili kiedy człowiek rozpoczął eksploatować ciepło dla swych wojennych celów.

W obecnej wojnie maszyn, cechą zasadniczą jest nie tylko ruchliwość, lecz i koncentracja siły oraz możliwość najszerszego zastąpienia masy ludzkiej maszyną. Ta też wiedza wojskowa wykorzystuje podczas wojny wszelkie dostępne źródła, pomagające jej w niszczeniu wroga.

Wojna 1914-18 wprowadziła szereg śmiercionośnych narzędzi walki, choćby wspomnieć wojnę gazową, łodzie podwodne i wielką "Bertę", ostrzeliwującą Paryż.

Od tej chwili jednak rozwój wynalazków oraz przemysłu metalowego, chemicznego, lotniczego wprowadziły znacznie większe zmiany w sztuce wojennej.

Nie tylko żołnierz w mundurze, lecz cały przemysł jest na usługach wojny. Organizacja jej stała się gałęzią specjalnej wiedzy wojskowej, którą musi znać zarówno żołnierz, szary człowiek ulicy jak i mąż stanu.

Broń dzisiejsza jest bardziej udoskonalona i trwała a nowe środki wybuchowe powiększają możliwości

niszczenia.

Udoskonalone środki łączności i sposoby obserwacji, łącznie z radiem, służbą meteorologiczną i lotnictwem itp. zmieniły oblicze nowoczesnej walki.

Lecz cofnijmy się na chwilę do najstarszych wojen, by choć w części objąć tę ewolucję narzędzi walki, szczególnie zaś ognia.

Jeszcze w biblijnych czasach na dojrzałe plony rolne wroga wypuszczano lisy z przywiązanymi do ogonów palącymi się głowniami. Indianie znowu rzucali na dachy kolonistów sosnowe pochodnie.

Rzymianie przy oblężeniu grodów, stosowali ognie zapalające i pochodnie. Niekiedy ze średniowiecznych strzelnic wylewano na wroga wrzącą oliwę i smołę, które następnie zapalano. W końcu 18-go stulecia znane były rozpalane do czerwoności pociski żelazne, stosowane w obronie n.p. Gibraltaru a wyrzucane z dział.

Oto są pierwsze, niby naiwnie skromne i proste, a jakże już zachęcające sposoby zużytkowania ciepła dla celów wojny.

Właściwego pochodzenia "CROCODILE" należałoby szukać w dawniejszych próbach użycia tego rodzaju narzędzi wojny, a co dziś określamy nowoczesnym mianem "wojna chemiczna".

Miotaczy ognia, czy płomieni nie wynaleźli Niemcy, mimo iż stosowali je już w wojnie 1914-18 na wielką skalę. Natomiast Francuzi, już w 1870 roku używali może najwięcej pomysłowego urządzenia miotania ognia w obronie Paryża.

Jak na owe czasy, była to zadziwiająca broń, która w dodatku przeraziła Niemców. Von Moltke wrzeszczał na cały niemal świat o bezecności i barbarzyństwie Francuzów.

Na jakieś dziesięć lat przedtem w czasie amerykańskiej wojny domowej, używano pewnej odmiany tego wynalazku przy oblężeniu Charleston.

Sięgając pamięcią głębiej w dzieje historii wojen, znajdujemy, że starożytni używali skutecznie taktyki miotania ognia, nazywanego "greckim ogniem". Podobne urządzenia spotykamy też u bizantyjskich Greków w czasie oblężenia Konstantynopola, a pewne płaskorzeźby, nasuwają przypuszcze-

nia, że i Assyryjczycy obznajmieni byli z tego rodzaju związkami chemicznymi. Skład i własności "ognia greckiego" pozostały nadal do dziś wątpliwe. Gibbon mówi, że "wytwarzał on gęsty czarny dym", a płomienie wydzielając się z jednakową gwałtownością, kierowały się w dół". "Wskutek licznych a sprzecznych ze sobą twierdzeń różnych starożytnych pisarzy i nowszych badaczy, istotnie nie łatwe jest ustalenie właściwego składu tej "mieszaniny", jednak miała ona zawierać smołę, siarkę i ropę naftową.

Ponadto ustalono, że odpowiednie strzały-pociski, owinięte pakułami i nasycone tą mieszaniną rzucano na nieprzyjaciela, lub po prostu wylewano nań ze ścian baszt, czy strzelnic fortecznych, wrzącą oliwę, następnie zapalaną.

Zastosowanie tych środków walki, było często podobne do użycia nowoczesnych miotaczy ognia. Naprzykład przy oblężeniu Delium około 400-go roku przed Chrystusem umieszczono naprzeciw ścian fortecznych kocioł z palącą się smołą, a potężne miechy wpędzały powietrze przez wydrążony w pniu otwór i płynny materiał wyrzucany był strumieniem na wroga.

Tacyt w sto lat później pisze też o mieszaninie smoły, węgla drzewnego i pakuł, które umieszczano w drewnianych skrzynkach i miotano na pokłady nieprzyjacielskich okrętów podczas bitew morskich. A Vegetius w 350 r. przed Chrystusem posiadał receptę tej mieszaniny smolnej.

Nowocześni historycy przypuszczają, że większość substancji, używanych podczas wojen krzyżowych były materiałami drugorzędnego znaczenia lub "ersatzami", gdyż oryginalne preparowanie "greckiego ognia" było troskliwie strzeżone przez stare Cesarstwo Wschodnie, jako tajemnica państwowa.

W czasie panowania Konstantyna /648-685/ przybył do Konstantynopola uciekinier z Syrii, architekt Callinicus, który przyczynił się wielce do rozwoju wojny chemicznej. Sporządzony przez niego "ogień grecki" wykazał wielkie zalety i został wypróbowany przeciwko Saracenom /chociaż nie byli oni nowicjuszami w tajnikach pirotechnicznej sztu-

ki wojskowej/ w bitwie pod Cyzicus. Skutek był nadzwyczajny, gdyż wiele okrętów saraceńskich spłonęło, a pozostałe zostały zatopione w pościgu.

Triumfujący Konstantyn uczynił wszystko możliwe, by zachować tajemnicę wyrobu tej mieszaniny, która odtąd służyła mu skutecznie do obrony miasta.

Tajemnica wyrobu "ognia greckiego" była tak dobrze chroniona, że w Konstantynopolu po dziś dzień różni badacze i eksperci przemyślają nad składem chemicznym mieszaniny, przy pomocy której Callinikus zadał taką klęskę wrogowi.

Na początku obecnego stulecia pułkownik Hime, po wyczerpujących badaniach tego zagadnienia, doszedł wreszcie do wniosku, że tajemniczą substancją było znane nam obecnie - niegaszone wapno.

Wiadomo powszechnie że osiąga ono w połączeniu z wodą bardzo wysoką temperaturę . Płk. Hime sądzi, że "grecki ogień" był sporządzony przez ostrożne zmieszanie siarki, ropy naftowej i wapna niegaszonego w pewnych proporcjach. Sądzi on dalej że "ogień grecki" był wyrzucany z "drewnianej rury owiniętej bronzem" pod ciśnieniem strumienia wody, działającej jako zapłon, który wyrzucając "mieszaninę" jednocześnie ją zapalał /reakcja wody na wapno gaszone/.

Takie oto są elementy składowe nowoczesnego miotacza ognia: ciśnienie, zapłon i płynna mieszanina. Nie bez słuszności Callinicus - uważany jest za twórcę i ojca wojny chemicznej.

8. Zdobycie Brestu.

Fala wojny przewaliła się w 1940 roku przez Europę od jej środka ku Pirenejom na zachodzie. Nie pozostawiła jednak wtedy po sobie tak niszczycielskich śladów, jak obecnie. Szczególnie przez Francję przeszła wojna dość łagodnie. Przyczyną tego była potęga niemieckich zastępów pancernych w porównaniu z siłami Aliantów, oraz brak chęci bronienia się ze strony Francuzów.

W 1944 roku fala odpływa z powrotem ku Niemcom. Już poczęła lizać w tej chwili samą Rzeszę. Stosunek sił przeciwników nie jest jeszcze odwrotnie proporcjonalny do stosunku z 1940 roku.

Tym się tłomaczy twarda obrona szeregu linii strategicznych, miast, a szczególnie portów. Jeżeli Niemcy uważają, że dany punkt posiada znaczenie strategiczne w jakimkolwiek sensie, trzymają go przez dłuższy lub krótszy okres czasu. A duch niemieckiego żołnierza jeszcze stoi na dość wysokim poziomie.

Dotąd Niemcy nie liczyli się ze stratami pośród mieszkańców bronionych punktów i zniszczeniem pięknych, a nieraz bardzo starych i zabytkowych miast. Walka toczyła się na terenie podbitym. Dziś, gdy to piszemy /11.X.44./ zaczyna być inaczej: dowódca garnizonu w Akwizgranie otrzymał ultimatum poddania się do godziny 11 rano. Po raz pierwszy Niemcy muszą się zastanowić, czy narazić na niebezpieczeństwo kilkadziesiąt tysięcy swych współziomków i pozwolić na zniszczenie własnych zabytków. Od tej pierwszej decyzji może zależeć długość wojny z Niemcami. Jeżeli Akwizgram podda się bez dłuższej walki, wojna się skończy szybko. Jeżeli stanie na tak patriotycznym stanowisku, jak Warszawa, Niemcy mogą zamienić się w fortecę, w której trzeba będzie zdobywać każdą większą wieś i każde miasto. Zobaczymy... W każdym razie Niemcy przekonali się jeszcze w 1939 roku, że w murach można się bronić tak długo, na ile czasu wystarcza wody, żywności i amunicji. Taką obronę zastosowali w Breście, zatrzymując tam duże siły amerykańskie.

Jest to ciekawy epizod wojenny. Posłuchajmy jak opisuje go specjalny korespondent Daily Telegraph.

Gdyby nie to że walki, rozgrywające się obecnie na granicy niemieckiej, odsunęły na drugi plan wszystkie wcześniejsze wydarzenia wojenne, oblężenie i zdobycie Brestu z pewnością uznaneby zostało za jeden z najbardziej niezwykłych epizodów tej wojny.

Całe strategiczne znaczenie tego epizodu polegało na odcięciu 40.000 Niemców, zamkniętych w ruinach miasta. Niezwykłość jego jednak polegała głównie, że był to powrót do metod walki

oblężniczej z przed pięciu wieków. Stworzyły one szereg całkowicie nowych problemów i trudności, przezwyciężenie których stanowi bezsprzecznie jeden z najwspanialszych wyczynów wojennych w historii Stanów Zjednoczonych.

Bitwa o Brest była przede wszystkim bitwą o miejskie mury. Kto nie widział tych olbrzymich, blisko trzy wieki liczących murów, z trudnością tylko może sobie wyobrazić, jak potężną stanowiły one przeszkodę. Nawet ciężkie działa nie były w stanie ich wyszczerbić. Strzelało się do nich, jak do twardej, jednolitej skały. W ostatecznym szturmie na miasto musieli się oblegający wdzierać na nie przy pomocy drabin. Zupełnie tak samo rycerze Czarnego Księcia szturmowali w średnich wiekach inne miasto francuskie. Pasma wzgórz, otaczających Brest od strony lądu nakształt kolistych zmarszczek na tafli wody, były silnie ufortyfikowane i nie dawały atakującym je wojskom żadnej możliwości ukrycia się. Dodatkową trudność stanowiły żywopłoty, rosnące tutaj na wałach ziemnych, od dwu do sześciu stóp wysokich, które zamieniały każde pole na ciężką do zdobycia redutę. Zwalczenie tego rodzaju przeszkód wymagało istotnej odwagi i wytrwałości.

Bitwa o Brest była zaciekłą, ciężką walką między dwoma twardymi przeciwnikami. Zbliżanie się jednak armii alianckich do brzegów Renu sprawiło, że świat przestał się zupełnie nią interesować.

Żołnierze niejednokrotnie się uskarżali na brak wzmianek o Breście w biuletynach prasowych. "Poświęcono nam dziś trzy linijki w biuletynie", stwierdzili pewnego dnia z zadowoleniem.

Istotnie, w ciągu pierwszych dwuch tygodni oblężenia znajdowała się tam tylko mała grupka korespondentów morskich, zainteresowanych Brestem, jako wielkim portem wojennym.

Wrażenie osamotnienia i zapomnienia zwiększała jeszcze trudność skomunikowania się ze światem. Wiadomości dochodziły do Londynu z trzydniowym opóźnieniem, były więc już nieaktualne, a przez to mało atrakcyjne.

A jednak była to ciekawa walka, prowadzona w

malowniczej okolicy i pomiędzy nie mniej malowniczym ludem. Bretończycy łatwiej się śmieją aniżeli mieszkańcy Normandii. Ich serdeczność i gościnność nie ma granic. Każdy z pośród tysięcy Amerykanów, którzy codziennie przesuwali się przez bretońskie wsie i miasteczka, witany był ze wzruszającym entuzjazmem.

Prócz tych miłych cech charakteru, posiadają Bretończycy również i głębsze zalety. Autor reportażu mieszkał przez trzy miesiące z rodziną, ewakuowaną z Brestu. Każdego wieczoru po powrocie z linii frontu, był on zapytywany, czy nie widział czasem, w jakim stanie jest ich dom.

Pewnego dnia udało mu się dostać do miasta i odnaleźć dom swych gospodarzy a raczej to, co po nim pozostało: cztery zczerniałe mury i stos gruzów w piwnicy. Jedyną zewnętrzną reakcją jego gospodyni na tę wiadomość było wzruszenie ramion i spokojne "c'est la guerre." Tylko lekko zaczerwienione oczy następnego ranka zdradziły jej wewnętrzne przeżycia.

W nienawiści Bretończycy są po prostu zapamiętali. Znajdując się pewnego dnia na wysuniętym posterunku, autor był świadkiem oddania się do niewoli grupy żołnierzy niemieckich z oficerem na czele. Stojący w pobliżu młody żołnierz francuski skoczył nagle do gardła oficera i nim ktokolwiek zdążył temu przeszkodzić, powalił go na ziemię, a postawiwszy go następnie z powrotem na nogi, zaczął okładać pięścią po twarzy. Z oczu jego wyzierała mordercza, wściekła nienawiść. Pastwił się nad swą ofiarą, jak oszalałe zwierzę i trzeba było aż czterech mocnych ludzi, żeby go od niej odciągnąć. Jak później się okazało młody Francuz siedział w więzieniu nad którym pobity oficer miał nadzór. Odznaczał się on wówczas niezwykłą brutalnością i przy jakiejś okazji zbił prawie do śmierci przyjaciela chłopaka za jakieś drobne, czy też zmyślone wykroczenie.

W innym wypadku, oddział amerykańskiej piechoty, przebijający się w kierunku centrum miasta, zobaczył ze zdziwieniem zbliżających się ku nim trzech żołnierzy niemieckich z podniesionymi do góry rękami, pędzonych przez starą Francuzkę, która grom-

kim głosem przeklinała ich i lżyła, potrząsając groźnie jakąś antyczną strzelbą.

Była ona jednym z nielicznych mieszkańców Brestu, którzy przeżyli jakimś cudem ulewę stali i ognia, wystrzeloną na miasto i z typowym bretońskim uporem postanowili nie opuszczać swych domów. Tego dnia trzech Niemców, przemykających się pośród ruin miasta wpadło do jej domu i zaczęło z jednego z parterowych okien ostrzeliwać ulicę.

Stara dama zerwała ze ściany nie nabitą strzelbę swego ojca i zszedłszy cicho na dół, wpadła znienacka do pokoju zajętego przez Niemców, mierząc w nich z tej groźnej broni. Wprawiło to ich widocznie w przerażenie, gdyż wszyscy trzej poddali się bez namysłu i dali się potulnie zaprowadzić w kierunku nadchodzących Amerykanów.

Wzruszającą była również cierpliwość Bretończyków. Mieszkańcy Brestu zostali ewakuowani z miasta jeszcze przed rozpoczęciem oblężenia. Na wszystkich jednak drogach, prowadzących do miasta, pozostały grupki wygnańców z zawiniątkami, zawierającymi cały ich dobytek. Wyczekiwali oni dniami i nocami na skraju linii ognia możliwości powrotu do domu.

"Czy Brest już uwolniony, proszę pana?" pytali niezmiennie każdego przechodzącego żołnierza amerykańskiego. Widząc wahanie na twarzy pytanego, dodawali z rezygnacją: "może jutro będzie". Musieli jednak czekać na tę chwilę wiele dni i nocy. A kiedy wreszcie nadeszła, widok zwęglonych ruin tego co było niegdyś ich rodzinnym miastem, nie wynagrodził im długich, ponurych tygodni cierpliwego wyczekiwania.

Proces wyzwalania okupowanego kraju pełen jest tragicznych kontrastów i niespodzianek. Obok zupełnie prawie nietkniętego miasta widzi się inne, leżące w gruzach, stanowiących zbiorowy grób wielu jego mieszkańców.

Na twarzach bohaterskich oswobodzicieli Francji maluje się często wyraz jakby zawstydzenia na widok tego, co zdziałali.

Printed by "CO. SŁYCHAĆ"
40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH